

DANE TYCZĄCE TWÓRCZOŚCI MARII KOWNACKIEJ
W LATACH 1918 - 1965

P o c z ą t k i

Urodziłam się dnia 11 września 1894 roku w Słupie, pow. Gostynin. Do lat ośmiu miałam wyjątkowo pogodne i szczęśliwe dzieciństwo. Nagła śmierć Matki przecięła wszystko i tragicznie zaważyła na dalszych moich losach. Po wyjątkowo ciężkim, sierocym dzieciństwie i trudnej młodości, przy słabym zdrowiu i braku poparcia z zewnątrz, nie udało mi się osiągnąć wyższych studiów, o jakich marzyłam.

Startuję w życie jako nauczycielka. Już od roku 1912 /tzn. jeszcze pod zaborem/ prowadzę we wsi Dębowa Góra /pow.kutnowski/ tajne nauczanie dzieci.

W roku 1914/1915, a następnie 1918/1919 pracuję w szkole, którą sama założyłam, w majątku Krzywda /pow. łukowski/, prowadząc jednocześnie: przedszkole, szkołę i kursy dla dorosłych analfabetów, we wsi gdzie nigdy dotąd nie było szkoły. Robię to zupełnie samowolnie bez poparcia władz, a tym mniej właściciela majątku.

Pracuję zupełnie bezpłatnie, mając tylko utrzymanie w domu siostry, żony właściciela majątku.

Lata od sierpnia 1915 roku do czerwca 1918r. spędziłam, wysiedlona, w Mińsku Litewskim, gdzie znowu z zapałem oddaję się pracy społecznej i reżyseruję aktualną szopkę okolicznościową, opartą na motywach z Konopnickiej i Rydla, które wiążę własnymi aktualnymi wątkami. Jest ona powtarzana w ciągu trzech lat. Ta pierwsza polska szopka po tylu latach zakazów - budzi zrozumiały entuzjazm. Jest to mój pierwszy naprawdę ładny sukces i osiągnięcie społeczne. W całym trzyletnim okresie pobytu w Mińsku słucham wykładów prof. Mariana Nassoniusa, profesora Uniwersytetu Wileńskiego, z zakresu historii literatury polskiej.

Po powrocie do Krzywdy, 5 czerwca 1918r., witana przez ludzi ze spontaniczną radością, oddaję się znowu z całym entuzjazmem pracy w mojej biednej szkole - w izbie czworackiej bez pieca i bez podłogi, po prostu na klepisku.

Za to zapał zarówno dzieci, jak i nauczycielki, pokonuje wszystko; stelmach wieczorami robi ławki, ludzie pomagają jak tylko mogą.

Ta moja samozwańcza szkółka jest uznawana przez władze, a nawet stawiana innym za wzór.

Pomoce naukowe sporządzam sama, własnego pomysłu. O założeniu biblioteki nie ma mowy. Brak mi na to pieniędzy.

A tymczasem dzieci dopingują: - "Niech nam pani co łopowi!" albo: - "A w Radoryszcu to była w stodole przedstawa w niedziele, a u nas to ni!..."

Cóż było robić, trzeba było własnymi opowiadaniem zastąpić brak książek i własnego pomysłu obrazkami scenicznymi - brak repertuaru.

Tak więc moje pierwsze utwory powstały, jak to się teraz mówi: "na zamówienie społeczne".

W roku 1919 przyjaciółka z ławy szkolnej, bez mojej wiedzy, doręcza moje rękopisy ówczesnej redaktorce "Płomyka" Helenie Radwanowej, która okazała mi wiele serca i wiele poświęciła serdecznej uwagi moim pierwszym krokom.

Zaczynam stale pisywać do czasopism dziecięcych wydawanych przez Naszą Księgarnię. Przez parę pierwszych lat zupełnie "honorowo", ale kto by się troszczył o honoraria - wobec szczęścia, że "człowiekowi" drukują jego utwory!...

Od tamtej chwili pozostaję stałą współpracowniczką czasopism Naszej Księgarni.

W końcu roku 1919-go, zmuszona naporem reakcyjnej rodziny szwagra, opuszczam pracę w krzywdzieńskiej szkole i przenoszę się do Warszawy. Udaje mi się zająć miejsce bibliotekarki w Ministerstwie Reform Rolnych, gdzie pierwsze kroki stawiam pod kierunkiem Marii Dąbrowskiej /autorki "Nocy i dni"/.

Wieczorami staram się dopełnić luki w wykształceniu, kończąc paroletni kurs dla nauczycielek rzemiosł, oraz kursy dla bibliotekarzy.

Brak własnego mieszkania, osamotnienie, sublokatorskie pokoiczki-ciupki w mieszczańskich domach, nie sprzyjają bynajmniej rozwojowi twórczości.

W roku 1926 przystępuję do Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, w roku 1928 przeprowadzam się na Żoliborz, a w roku 1931 otrzymuję tam własne mieszkanie - w V kolonii WSM, gdzie mieszkam dotąd.

Jest to niesłychanie korzystny przełom w moim życiu, po raz pierwszy trafiam na właściwy grunt. Żoliborz przoduje jako młoda, najbardziej uspołeczniona dzielnica Warszawy.

Po przystąpieniu do rozwijającego prekursorską, dynamiczną działalność RTPD - moje twórcze możliwości znajdują doskonałe zastosowanie.

Wyzwolona z reakcyjnych represji środowiska, w jakim się dotąd musiałam obracać, zawsze zbuntowana i niepodległa, teraz otoczona młodymi zapaleńcami o postępowym światopoglądzie - rzucam się z całym rozmachem w wir pracy społecznej.

K u k i e ł k i . W s p ó ł p r a c a z "B a j e m"

Właśnie przed rokiem powstały przy RTPD teatr kukiełek, powołany do życia przez tyleż niedoświadczoną co pełną zapału młodzież, cierpi na zupełny brak repertuaru.

A tymczasem tak jak kiedyś w Krzywdzie, dzieci dopingują; chwytają za ręce na dziedzińcu: - "Kiedy... kiedy będzie przedstawienie?!"

Siadam więc i piszę dla tego naszego teatru "BAJ-a" szereg sztuk pełnoprogramowych: "O Kasi co gąski zgubiła", "O strasznym smoku i dzielnym szewczyku, prześlicznej królewnie i królu Gwoździu", "Cztery mile za piec" /na wątkach folkloru dziecięcego/, "O Zaczku Szkolaczku i o Sowizdrzale, co jeden kochał szkołę, a ten drugi wcale" i szereg innych drobniejszych utworów. /Wszystkie te pozycje wydała swojego czasu Nasza Księgarnia/. Wszystko to na gorąco idzie na scenę.

Uczymy się na własnych błędach.

Teatr, jeżeli nie liczyć szopek-jasełek, jest pierwszy w kraju. To pobudza i nadaje rangę prekursorską. Cały zespół pracuje honorowo, przez całe lata, aż do wybuchu wojny w 1939 roku. A nawet w czasie okupacji prof. Witold Miller dalej prowadzi pracę z dziećmi po świetlicach, a ja piszę sztuczki.

Jako ci, którzy zdobyli pewną sumę doświadczeń, poczuwamy się do przekazania tego społeczeństwu. Opracowujemy więc wspólnie, za moją inicjatywą i pod moją redakcją, zbiorowe wydawnictwo pt. "Teatrzyk kukiełek" - przy współudziale Jędrzeja Cierniaka, Joanny Landy, A. Palińskiego, W. Ulanowskiego i innych.

Książkę w 1935 roku wydała Nasza Księgarnia. Książka ta nie miała wznowień, pomimo ładnej szaty graficznej, nadanej przez Wandę Telakowską, ponieważ technika kukielkowa bardzo szybko szła naprzód, ale za to wszystkie moje utwory, pisane dla "Baja", grane są do dzisiaj, zwłaszcza przez szkolne i świetlicowe i różnego innego typu ochotnicze teatry.

Ma to swoje uzasadnienie w tym, że jako autorka poznałam dobrze ciężkie warunki początkujących zespołów i umiem treść moich sztuk do nich dostosować. Prócz tego są one proste, żywe, wesołe, o nieskomplikowanej akcji, wciągające widza do czynnego współdziałania, stosunkowo małoobsadowe. Dla tych cech, jak przypuszczam, cieszą się dużym powodzeniem w całym kraju.

K u k i e ł k i p o w o j n i e.

Po skończonej wojnie nie ustaję w pracy dla sceny kukiełkowej. Powstaje szereg utworów osnutych na wątkach społecznych, a więc:

"O Jasiu Brudasiu" - higiena jako zagadnienie społeczne; utwór napisany żywo i pełen humoru /nigdzie nie drukowany dotąd/.

"Hulajnoga Grzesia Raroga" - problem uprzejmości i kultury dnia codziennego. /Dotąd nigdzie nie drukowany. Utwór wystawiany przez szkolny zespół z Szybowic, zdobył I miejsce na konkursie w Opolu./

"Wawrzyńcowy sad" /nagroda na konkursie zamkniętym Ministra Kultury i Sztuki/. Zagadnienie umiłowania i właściwego stosunku do pracy w ogóle, a w tym wypadku pochwała pracy ogrodnika. Utwór ten wydany przez Naszą Księgarnię w 1951 r. wymaga pewnych skrótów.

"Orzeszek" - walczy o właściwy stosunek do przyrody. Zwycięstwo przyjaciół przyrody nad kłusownikiem. Utwór grany z wielkim powodzeniem, wystawiany w kraju, m.in. w szkole szybowickiej i w Państwowym Teatrze Kukiełkowym w Moskwie... /Wyd. Nasza Księgarnia, 1961/.

"O Bidzie i złotych jabłkach" - regionalny utwór poświęcony pamięci niesłyszanej zasłużonego nauczyciela, Stanisława Wilkowicza, z Łącka, twórcy słynnych sadów sądeckich. Utwór wystawiany przez szkołę w Zabrzeży w czasie uroczystości jubileuszowych ku czci Wilkowicza.

"Grymasela" - utwór przerobiony przez kompozytora Dobrzańskiego, z mojego utworu pt. "Jak wół do karety pasował" /pierwotnie było to opowiadanie w książce "Jak mysz pod miotłą", przerobione przeze mnie na scenę kukiełkową/.

D r o b n e u t w o r y s c e n i c z n e :

Z drobniejszych utworów scenicznych ukazało się przed wojną:

"Deszczyk pada, słońko świeci" - rewia wiosenna /N.Ks., 1935/.

"O Jaśku co się z Rokitą założył" /Wyd."Społem" 1937/ - propaganda sadzenia drzew.

"O katarze, o kichaniu i o wiosny powitaniu" - grane przez "Baj-a", niedrukowane.

"O misiu Psotnisiu i Bolku Kichnolku" /Wyd.WSK/ - dodatek do teatrzyku "Bajuś - czupiradełko" - w czasie okupacji, bez cenzury.

"Miała babuleńka kozła rogatego" - w czasie okupacji bez cenzury.

"O Rochu i jego grochu"-motywy ludowe /N.Ks.1948/.

"Proszę, przepraszam, dziękuję"-sprawa uprzejmości na co dzień /Rolnik Polski 19.../.

Uwaga: Od szeregu lat instytucje wydawnicze nie wydają sztuk teatralnych, dlatego żadnego z powyżej wymienionych utworów nie można znaleźć na półkach księgarskich. Zasypywana pytaniami i prośbami zainteresowanych w tej sprawie, zdecydowałam się poprosić Zarząd Naszej Księgarni o wydanie na zbliżające się 50-lecie mojej pracy pisarskiej wyboru moich utworów scenicznych. Prośba moja ma być uwzględniona.

Teatrzyk "Supełka" i "Węzełka"

W roku 1952 ordynator sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę kości w Szklarskiej Porębie, dr Olszewski, zwrócił się do mnie o obmyślenie jakiegoś atrakcyjnego zajęcia dla tych pacjentów, którzy niekiedy trzy lata muszą leżeć w pancerzach z gipsu.

Z moim stażem lalkowym - nie mogłam pomyśleć o czym innym, jak tylko o kukiełkach... Ale jak to podać?!... W warunkach sanatoryjnych - klej, kłajster - nie do pomyślenia!... Wtedy przypomniała mi się z dzieciństwa młoda Francuzka, która demonstrowała pierrotka łapiącego pchełki. Pierrotek był z...ręcznika.

Poszłam tą drogą, zaczęłam pętlić supły na gałganach; z początku nie udawało się, powoli jednak osiągnęłam swój cel. Dodałam drobne uzupełnienia, oczy i usta z guzików, peruczki z włóczki, korony, wianki, a nawet kolorowe spódniczki. I moje supełkowe kukiełki - zagrały...

Nazajutrz po wtajemniczeniu personelu sanatorium w tajemnice "supelków" - otrzymałam telefon od dr O. - "Proszę zaraz przyjść przeżyć swój tryumf"! ... wzywał ordynator.

I rzeczywiście wszystkie jaśki stały sztorcem, a na tej scenie podrygiwały, śpiewały i mówiły swoje role improwizowane supełki, choćby z chusteczek do nosa!...

- Co Pani nam narobiła - skarżyły się salowe - supełki są nie tylko na chusteczkach i ręcznikach, ale na koszulkach nocnych i rogach prześcieradeł!...

To był naprawdę piękny "tryumf". Zaczęłam nawet pisać odpowiednie miniaturowe obrazki sceniczne. Opisałam ten mój pomysł w "Wychowaniu w Przedszkolu" i innych pismach pedagogicznych. Ale sprawa jakoś uwiędła. Nie miał jej kto podsycić.

Dopiero w 10 lat później spotkałam przypadkowo aktorkę teatru "Lalka" w Warszawie, Zofię Rusiecką, która z wrodzoną sobie intuicją i inwencją wzięła na swój fachowy warsztat mój skromny pomysł i w krótkim czasie stworzyła cały system najmniejszych widowisk, gdzie sceną jest poręcz krzesła, a aktorami supły wiązane na flanelowych ściereczkach - dodając do tego swój własny pomysł laleczek z krążków flaneli nadziewanych na palce.

Przedstawienia tego jednoosobowego teatrzyku "Supleka" i "Węzełka" - dawane w szkołach, przedszkolach, na kursach bibliotekarskich, dla wychowawczyń przedszkoli i świetlic - cieszą się dużym uznaniem.

Najważniejszym, palącym zagadnieniem stał się, oczywiście, repertuar. Nie zwlekając więc zabrałam się do roboty i napisałam w ciągu 2 lat około 50-ciu króciutkich i nieco dłuższych obrazków scenicznych. Oto tytuły niektórych utworów:

"O Zosi i zajączku" /kiszenie kapusty, zapasy na zimę/.

"Słonecznik" /dzieci pielęgnują słonecznik, "chuligan" go wyrzywa, sąd widowni/.

"Kłádka" / czyn społeczny/.

"Brońmy książki z obrazkami" /na "Dni Oświaty i Książki"/.

"Na rynku w Traralinku" /sprawa właściwego wymawiania liter/.

"Swaty" /inscenizacja ludowej wesołej piosenki/.

"Bał u lalusz" /balet "wężełkowy"/.

"Sroczka kaszkę warzyła" /wesoła bajdurka na "Dzień Dziecka"/.

"Za sprawą leszczyny" /baśń - ochrona przyrody/.

"O Orzeszkowej kumie" /na zamówienie poradni psychologicznej/.

P.A.N. /rozładowanie kompleksów niższości u dzieci/.

"Lalę Ali lula las" /rozwiniecie treści elementarza, przy nauce czytania/.

"O krasnoludku, co mieszkał w borze" /"Węzełki", przygoda/.

Trudno wymienić wszystkie tytuły. Dodam tylko, że prócz wychowawców przedszkoli i bibliotekarzy, zajęli się żywo sprawą tego teatrzyku psycholodzy P.A.N. /Oddział w Gliwicach/ i dokonywali w tym zakresie ciekawych eksperymentów.

Na razie wszystkie te utwory były tylko i to częściowo drukowane w czasopismach dziecięcych i pedagogicznych, jak np: "Przyjaciel Dziecka", "Wychowanie w Przedszkolu".

Wydania książkowego się nie doczekały dotąd.

K s i ą ż k i

W roku 1930 ukazuje się w druku, nakładem "Państwowego Wydawnictwa Książek" moja pierwsza książka pt. "Plastusiowy pamiętnik" /drukowany uprzednio w odcinkach na łamach "Płomyczka" /, spotykając się od razu z bardzo życzliwym przyjęciem ze strony pedagogów i krytyki literackiej, nie mówiąc o gorącej sympatii, jaką od pierwszej chwili przez tyle roczników, darzą Plastusia dzieci.

Zabawne i autentyczne okoliczności powstania Plastusia podaję we wstępie do ostatnich wydań. Wynika z nich, że Plastuś jest pomysłem dziecka.

Jest to jedna z niewielu książek, która w pierwotnym brzmieniu bez jednej najmniejszej zmiany, ukazała się zaraz po wojnie, przedrukowana z wydania międzywojennego, zasługując, jak sądzę, tym sposobem na rangę książki szczerze demokratycznej.

W 1965 roku poszło do druku XIV "jubileuszowe" wydanie "Plastusiowego pamiętnika" razem z "Przygodami Plastusia" /zob. niżej/, ilustrowane pięknie, kolorowo przez Zdzisława Rychlickiego.

"Plastusiowy pamiętnik" ukazał się w całym szeregu tłumaczeń na języki: rosyjski, łotewski, litewski, gruziński i in.

"Przygody Plastusia" - będące dalszym ciągiem "Plastusiowego pamiętnika" mają też swoją zabawną i charakterystyczną genezę.

Podczas spotkania autorskiego w szkole TPD nr 1 dzieci zaczęły nalegać, żebym pisała dalszy ciąg "Plastusiowego pamiętnika"; zgodziłam się bez zastrzeżeń, ale poprosiłam, żeby określiły gdzie ma się dziać akcja - w mieście czy na wsi. Wszyscy chłopcy głosowali za miastem, wszystkie dziewczęta za wsią, a że dziewczynek było o jedną więcej niż chłopców - więc przegłosowały. Rzecz dzieje się na wsi i służy ochronie przyrody. Książka dotąd miała dwa wydania - w 1957 i 1959 roku.

Obecnie tzn. w roku 1965 obie te części ukażą się w jednym tomie z kolorowymi, pięknymi ilustracjami Zdzisława Rychlickiego, jako właśnie wydanie "jubileuszowe" /Wyd. N.Ks./.

"Kolorowe listy" z Plastusiem, podawane w radio, są tylko częściowo opracowywane przeze mnie.

Pierwsze wydanie "Kukuryku na ręczniku" ukazało się w roku 1931. Udało mi się kiedyś zabawnie opisać pewną drobną migawkę z życia.

Oto przekupka na rynku "Za Żelazną Bramą" sprzedawała kubki, na których wymalowany był chłopiec szorujący zęby - zapewniając mnie, że odkąd synkowi taki kubek ofiarowała, to - "czy trzeba, czy nie trzeba zęby szoruje!

Opisałam z humorem to wydarzenie pt. "O Kubusiowym kubusiu" i przekazałam redakcji "Płomyczka" - to była prawdziwa klęska: odtąd wszelkie nudziarstwa wychowawcze, jak sprzątanie, mycie, wietrzenie, przekazywano mnie, pod hasłem: "już Kownacka zrobi z tego coś zabawnego".

Tym sposobem ukręciłam sama na siebie bicz - no, i w ten sposób powstało "Kukuryku na ręczniku", książka, która od trzydziestu lat nie wyszła jeszcze z obiegu, doczekawszy się całego szeregu wydań w "Naszej Księgarni", bawiąc i podkpiwając - / np. "Po czemu u Hanki były obarzanki"/ wdraża w pojęcia ładu i higieny.

Najzabawniejszą w tej sprawie pointą jest, że jedyna zmiana, jakiej domagała się redakcja w okresie powojennym, było zastąpienie inspiratorki całej książki, owej grubej przekupki ekspedientką z CDT-u!... Co uczyniłam, przyznaję, z ciężkim sercem. Zabrakło mi w książce tej barwy. Książka była tłumaczona na obce języki, m.in. na słowacki.

"Kajtkowe przygody", "Tajemnica uskrzydlonego serca" oraz "Świerszczykowy kram" - to książki pisane w czasie okupacji w Krzywdzie:

Pierwsza z nich to pamiętnik oswojonego bociana, książka napisana na zamówienie red. Heleny Radwanowej, która w czasie okupacji, wraz ze Stanisławem Arctem, prowadziła działalność gromadzenia rękopisów na "po wojnie", pomagając tym sposobem autorom, znajdującym się bez środków do życia.

"Kajtkowe przygody" - to książka poświęcona pracy na roli. Ten główny cel książki jest jednak tak ukryty i wpleciony w wątek śmiesznych przygód bociana, że w czasie spotkań autorskich nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się stwierdzić, żeby dzieci orientowały się jakiemu zagadnieniu książka właściwie służy. One w niej dostrzegły wyłącznie "śmieszne przygody Kajtka".

"Tajemnica uskrzydlonego serca" - to obraz życia domu Heleny Radwanowej oraz całego młodego miasta-¹lasu - Zalesia Dolnego w latach międzywojennych.

Postacie, przedstawione w książce, to autentyczni mieszkańcy Zalesia, wśród których prawnik p. Stefan Dratwa dał prawdziwy wzór umiłowania przyrody i racjonalnej, przemyślanej opieki nad ptakiem. Jego "ptasi raj" i zbratanie z przyrodą człowieka są dla mnie do dzisiaj niedościgłym ideałem.

Ta książka, poświęcona ochronie przyrody, a zwłaszcza ptaków, cieszyła się dużym uznaniem wśród dzieci i wychowawców. Ukazała się jednak tylko w dwóch wydaniach /N.Ks., 1948, 1949/. Był to właściwie tylko tom I zaprojektowanej całości. Nie przystąpiłam nigdy do opracowania II tomu, ponieważ wydawnictwo uznało, że "opisywany okres przestał być aktualny, a nie stał się jeszcze historyczny".

"Świerszczykowy kram" - to pogodny poemacik, pisany w okresie najczarniejszej nocy okupacyjnej; bezpośrednim bodźcem było przyjście na świat w domu, gdzie bawiłam, małego uroczego Piotrusia. Pogodny ton utworu - była to prawdopodobnie podświadoma potrzeba odprężenia psychicznego /Wyd. N.Ks. 1949/.

"Dzieci z Leszczynowej Górki" - to, jak myślę, pierwsza książka po elementarzu, wprowadzająca dziecko w świat przyrody i jej ochrony.

Jest to książka wiążąca się z moimi przeżyciami wczesnej młodości i z dzieciństwem moich siostrzeńców. Wiele wątków przypomniała mi, względnie podała, moja siostra, Zofia Malicka /dlatego nazwisko jej uwzględniłam przy wydaniu/. Opisane fakty, jak np. historia tonącej wiewiórki, wyciągniętej z jeziora przy pomocy wiosła, oraz sposób w jaki się suszyła, wyzymając łapkami ogonek, odkrycie przez Tomka pętli sideł, zaciśniętych na szyi zdychającego pieska - wszystko to są zdarzenia prawdziwe i może dlatego tak mocno przemawiają do dziecka.

Akcja dzieje się oczywiście na Suwalszczyźnie, nad pięknym jeziorem kupowskim. Na ową "tajemniczą wyspę" sama woziłam zającowi-samotnikowi liście kapusty.

"Dzieci z Leszczynowej Górki" prawdopodobnie, jako lektura obowiązująca, powodują prawie na równi z "Plastusiem", napływ listów od dzieci. Ponieważ w każdym prawie liście dzieci proszą o dalszy ciąg opowiadania, zdecydowałam przystąpić do opracowania dalszych przygód tych bohaterów.

Suwalszczyzna ze swoim pięknym krajobrazem, bogatym w jeziora, rzeki i lasy, oraz historycznymi tradycjami Jaćwieży, dawała doskonałą kanwę do snucia opowieści przygodowej.

Zaprosiłam więc do współpracy świetnego znawcę przyrody, gawędziarza i mistrza opowiadań przygodowych - Jana Kucharskiego.

Książka ma wyjść w dwóch tomach. Pierwszy z nich pt. "Wiatrak profesora Biedronki" ma się ukazać już w roku bieżącym 1965, "Trudne braterstwo" - /tytuł tymczasowy/ jest w opracowaniu.

Książka, przeznaczona dla wyższych klas szkoły podstawowej, poza zagadnieniami ochrony przyrody, zawiera psychologiczny wątek "trudnego braterstwa".

Sensacyjne odnalezienie się braci-bliźniaków, których w niemowlęctwie rozdzieliła wojna, dopasowywanie się i ucieranie poglądów na świat i charakterów chłopców podobnych do siebie, ale kształtowanych przez zupełnie odmienne warunki, jest osiowym wątkiem utworu.

"Mysz pod miotłą" - to próba fantastycznego rozwijania wątków przysłów i pogwarek. Posłowie na końcu książki wzywa dzieci do zbierania przysłów, jako wspaniałego bogactwa mowy polskiej. Jedno z opowiadań pt. "Jak wół do karety pasował" - zostało przerobione na scenę kukiełkową. / Wyd. N.Ks. 1947, 1949/.

Te same utwory w wyborze weszły w skład książki wydanej przez "Ruch" pt. "Jak...mysz, kura, wół i Filip" /1963r./

"Entliczek-Pentliczek" - służy również przyswajaniu dzieciom folkloru, tym razem ich własnego - dziecięcego.

W tym zbiorze gier i zabaw większość - to autentyczne wątki dziecięce, rozwinięte i opracowane przeze mnie, jako gry ruchowe.

"Rogaś z Doliny Roztoki" i "Szkoła nad obłokami", pisane w latach 1955 do 1958 - to plon moich włóczęg po kraju.

W roku 1955 znalazłam się latem w przepięknym Rytrze. Strażujące od wieków nad Popradem ruiny zamku raubryterskiego, osnute mnóstwem legend, bogaty miejscowy folklor, no, i wstyd trochę się przyznać, wyjątkowo deszczowe lato, które nie pozwoliło na dalsze wycieczki, to wszystko sprzyjało nawiązywaniu kontaktów z tubylcami, a co za tym idzie, zbieraniu cennego materiału z pierwszej ręki.

Miejscowy, były nadleśniczy, znakomity gawędziarz, opowiadał mi historię chowanego przez siebie kozła-sarny, który wypuszczony na wolność, wielokrotnie powracał i nawiedzał swoich gospodarzy, stawał na środku drogi przed nadciągającym sznurem wozaków i podchodził do ludzi zbierających grzyby.

Na tych faktach oparłam wątek opowiadania, splatając go z miejscową legendą ryterskiego zamku.

Tegoż lata, jeszcze w czasie pracy na "Rogasiem", miejscowe nauczycielstwo zaczęło mi opowiadać niezwykle historie o bytowaniu najwyżej położonej w tym rejonie szkoły w Niemcowej. Zgłosił się nawet młody nauczyciel tej szkoły, zapraszając mnie na swoją wyżynę. Skorzystałam z tego w następnym roku.

A kiedy się tam znalazłam i na własne oczy zobaczyłam drewniane zaworki - zamiast zamków we drzwiach, drewniane saski /skrzynie na zboże/, buklicki i jaktelki do noszenia wody ze źródeł, dziady - ławy ciesielskie, jaty i kąciny - przyścianki /szopy o trzech ścianach/, soşzki, rozwidlone gałęzie, z których wyrabiano sochy, stołki i zwijadła i wiele innych sprzętów, a oprócz tego kurne chaty - to mi się wydało, że czas stanął, że się cofnęłam co najmniej trzy wieki wstecz.

Temu niezwykle zahamowaniu sprzyjało na pewno wyizolowanie wsi. Żadnego absolutnie dojazdu, poza dojściem pieszym.

Zahartowanie miejscowych dzieci, ich zaradność, sprawność, ich żarliwa chęć do nauki, wspaniały dar gawędziarstwa u dorosłych, mnóstwo przygód, jakie tam ludzie przeżywają w ustawicznej walce z przyrodą, śnieżyce, napady wilków, cała wspaniała sceneria wyniosłej wyżyny okolonej Popradem - wszystko to razem nakłoniło mnie do snucia tej opowieści Beskidu Sądeckiego - dalej.

Namawiał mnie do tego gorąco grafik, prof. Witold Chomicz, późniejszy ilustrator tych książek, znawca i miłośnik ziemi sądeckiej i jej zabytków.

Za jego też namową książka została poświęcona zagadnieniu ochrony zabytków.

Charakterystyczne, że dzieci nie orientują się absolutnie, jakiemu zagadnieniu społecznemu książka jest poświęcona. /Podobnie jak w wypadku "Kajtkowych przygód"/. Fakty te skłonna jestem zapisać sobie na plus. Wydaje mi się bowiem, że każda najbardziej zakonspirowana myśl społeczna jednak kiełkuje i wywiera swój wpływ na czytelnika, nie nudząc dydaktyzmem.

"Szkoła nad obłokami" - zdobyła I miejsce w zamkniętym konkursie na powieść "Naszej Księgarni".

Drobne utwory i przekłady

Oprócz wymienionych powyżej książek napisałam cały szereg mniejszych utworów, wydawanych przez Naszą Księgarnię, częściowo w serii "Poczytaj mi Mamo", oraz przez "Ruch", "Czytelnika" i LOP.

Są to:

"O szewczyku Łukaszu, co szył buty dla ptaszków"
"Kamizele na niedzielę"
"Klocek"
"Kwiatki Małgorzatki"
"Ogródek"
"Nocka i dzionek"
"Koło młyńskie"
"Lalka strojnisia"
"Skrzynka skarbów"
"Kruczek chudy nie miał budy"
"Wielka wyprawa do lasu"
"Kredka kolegi Edka"
"Wykończ za Edka"
"Jasio i Plastuś"
"O bursztynowym złocie i o Kasi sierocie"
"O profesorze Biedronce i o kwitnącej łące"
"O kocie niecnocie"
"A kuku, mości kruku" i inne.

Prócz tego przełożyłam z języka rosyjskiego "Dziuplę" Witalego Bianki. Jest to wolny przekład wierszem /oryginał jest pisany prozą/, z poszerzeniem tematu.

W ten sam sposób przełożyłam też dwa utwory sceniczne, a mianowicie: "Kozioł mądrala" /"Pro kozła" S.Marszaka/ i "O kołaczu uciekaczu" /"Kołobok" G.Landau/.

G ł o s p r z y r o d y

Osobną pozycją, stanowiącą chyba najpoważniejsze moje osiągnięcie, jest ukazanie się w druku /Wyd. N.Ks./ zbiorowego dzieła pt. "Głos przyrody".

Pracowałam przez pełne szesnaście lat nad koncepcją książki, skrzętnie gromadziłam materiały i niepotrzebnie traciłam siły na przekonywanie wydawców o konieczności tego wydawnictwa, oraz na odpieranie sypiących się zarzutów ze strony wyjątkowo ostrej i nieprzychylnej opinii konsultantów-biologów.

W walce tej nie ustępowałam, bo czułam, że walczę o dobrą sprawę. Zaproszenie w końcowej fazie do współpracy energicznej i pełnej inwencji koleżanki Marii Kowalewskiej, pozwoliło doprowadzić dzieło do końca.

Jako wstępne przygotowanie do opracowania książki potraktowałam wprowadzenie na łamy "Płomyczka" - "Kącika Młodych Przyrodników" - dawało mi to ciekawy, bezpośredni kontakt z dziećmi, wskazywało drogę ich zainteresowań przyrodą i pozwalało gromadzić cenny materiał.

/M.in. konkursowa praca Hani Wróbel z Tarnowa weszła do "Głosu przyrody" jako "Kronika młodego przyrodnika"/.

Przystępując do opracowania tak poważnej i pracochłonnej pozycji dałam wyraz mojemu głębokiemu przekonaniu o ważności wychowywania dzieci poprzez zbliżenie z przyrodą.

Ostatnim dopingiem i po części przykładem była dla mnie książka Witalego Bianki pt. "Leśna gazeta". Doceniając jej pomysłową formę i niektóre chwytły dydaktyczne, budziła we mnie cały szereg wątpliwości i sprzeciwów w ujęciach, np. spraw polowania, żelaz do łapania zwierząt futerkowych, zapadni ze szpikulcami na wilki, polowania na dzikie łabędzie /!!!!/ spod prześcieradła itp. okrucieństwa.

Tych wszystkich spraw uniknęłam w "Głosie przyrody", kładąc nacisk przeciwnie na ochronę przyrody, folklor, humor, uaktywnianie dzieci, pogłębianie ich wiadomości z dziedziny przyrody - drogą zagadek, konkursów, zawodów, turniej, ankietek i wszelkich innych najatrakcyjniejszych chwytów - jak pocieszne psoty Chochlika /przestawianki/, oraz "prośby o zmianę nazwiska".

Książka daje bez wątpienia dużą porcję wiadomości, ale głównym jej zadaniem jest wciąganie i budzenie zainteresowania przyrodą i jej ochroną.

Sukces książki, która pomimo ceny 75zł /za dwa pokaźne tomy/, została rozchwyтана w ciągu trzech tygodni, i to przeważnie przez prywatne osoby, był dla nas nie tylko sukcesem, ale i niespodzianką, dowodzącą, że społeczeństwo, pomimo odwrotnych pozorów, docenia rolę przyrody w sprawie wychowania młodego pokolenia.

Niezwykle pochlebne recenzje i oceny Ministerstw Oświaty oraz Kultury i Sztuki spowodowały to, że książka będzie wznowiona już w 1966 roku.

Na powodzeniu książki zaważył na pewno i dobór współautorów, zarówno znakomitych biologów, jak i literatów /w części beletrystycznej/.

"Głos przyrody" po raz pierwszy wprowadza w literaturze dziecięcej pojęcie fenologii /zjawiska zachodzące w przyrodzie w związku z porami roku/.

Książka podzielona jest na 9 fenologicznych okresów roku.

Obecnie zachęcona powodzeniem "Głosu przyrody", dążę do wydania książki o podobnym układzie, poświęconej, fatalnie u nas zaniedbanej, sprawie ogrodów.

Roboczy tytuł książki: "O ogrodach, ogródkach i ogródeczkach".

Zbieram już materiał. Do współpracy zaprosiłam prof. Gerarda Ciołka, znakomitego znawcę historii ogrodów, autora "Ogrodów polskich" oraz mgr Juliana Grzegorego, autora szeregu książek z dziedziny ogrodnictwa.

Książka ma zawierać atrakcyjnie potraktowany dział historyczny i dział praktyczny - "Roboczo i ochoczo"

Czy zdołam mój zamiar urzeczywistnić - nie mam pojęcia - może trzeba będzie pozostawić to już innym...

Osobny dział mojej twórczości to:

P u b l i c y s t y k a

z zakresu społeczno-wychowawczego. Zajmuję się nią, oczywiście, tylko ubocznie i to wyłącznie w wypadkach, kiedy mnie jakaś sprawa specjalnie poruszy. Pierwsze moje wystąpienie pt. "Wychowawca z gwizdkiem", dotyczyło niewłaściwych metod wychowawczych stosowanych do dzieci na koloniach letnich.

Artykuł ten, który po raz pierwszy ukazał się w "Expresie Wieczornym", był parokrotnie przedrukowywany przez czasopisma pedagogiczne i wygłaszany przez radio.

Od tej chwili, tzn. mniej więcej od roku 1953, zwracają się do mnie redakcje pism pedagogicznych, jak np. "Życie Szkoły", "Przyjaciół Dziecka" - organ TPD, "Rodzina i Szkoła", "Wychowanie w Przedszkolu" i in. o opracowywanie tematów wychowawczych.

Najczęściej występuję w sprawach ochrony przyrody i zbliżania dzieci do przyrody. Ostatnio zabrałam głos w palącej sprawie kradzieży w szkołach, czyli tzw. w żargonie szkolnym "podwędzania".

Wypowiedzi moje na tematy wychowawcze bywają podawane przez radio w audycjach "Pięć minut o wychowaniu".

Potrzeba tych wypowiedzi jest to, jak sędzę, przejaw instynktu społecznego, jaki wykazywałam od wczesnej młodości.

W s p ó ł p r a c a z c z a s o p i s m a m i

Podsumowując ten pobieżny przegląd mojej twórczości, muszę stwierdzić, że największy dział - to moja współpraca z czasopismami dziecięcymi, trwająca od roku 1919.

Stale prowadzone przez szereg lat "Kąciki przyrodnicze" w "Płomyczku" i "Przyjacielu Dziecka", obecnie "Słoneczna strona" w "Płomyku", w "Świerszczyku" - "W Świerszczykowie nowina" /krótkie opowiadania, mające na celu zachęcenie do samodzielnych wypowiedzi na zajmujące dzieci tematy/.

Ciekawa współpraca z "Przyjacielem Młodego Spółdzielcy", na łamach którego mogę drukować obrazki, które idąc od razu na deski sceniczne, spełniają w tym okresie, kiedy się nie drukuje żadnych "teatraliów", dużą rolę społeczno-wychowawczą.

Na łamach tego żywego spółdzielczego pisma zamieszczamy też wspólnie z mgr Grzegorym stały kącik poświęcony ogrodom pt. "Wedle ogródeczka".

Kącik ten ma spełniać rolę wstępu do projektowanej książki pt. "Ogrody, ogródki i ogródeczki".

Tam też drukuję, ciesząc się wielkim powodzeniem "Monologi Wicusia Trzapańkiewicza", będące satyrą na wesoło - przeróżnych przywar i bolączek szkolnego wieku.

Opowiadań krótszych i dłuższych, obrazków scenicznych, przeważnie związanych z folklorem /jak np. pasowanie "fryca" na "kosiarza", obrządek pieczenia chleba z nowego zboża, itp./ trudno zliczyć.

Charakterystyczne jest dla mojej twórczości, że po przeżyciu tragicznego, ciężkiego dzieciństwa i młodości - nigdy nie podaję dzieciom rzeczy smutnych, przeciwnie, zawsze prawie utwory moje cechuje pogoda i humor.

Wiem z własnych doświadczeń, że żadna tragedia człowieka dorosłego nie da się porównać z bezbronną rozpaczą dziecka. Dziecko fizjologicznie nie jest jeszcze przygotowane na znoszenie tragicznych przeżyć i rozpacz. Dlatego wszystko, co piszę, staram się utrzymać w jasnych kolorach.

Wielkim podtrzymaniem w pracy jest dla mnie zawsze - od pierwszych kroków aż do chwili obecnej - życzliwy stosunek do moich utworów dzieci i wychowawców, którzy twierdzą powszechnie, że im moje książki - "najwięcej pomagają w pracy" - co poczytuję sobie za największą pochwałę i za moje największe osiągnięcie!

Warszawa, Żoliborz. Marzec 1965

Dane dotyczące twórczości w latach 1966-1980

"Wesołe przedszkole" /Wyd.Literackie, Kraków 1969r. II-wyd. 1973 r./. Książka jest planem moich corocznych pobytów w przedszkolu "Plastusiowo" w Rabce, na zaproszenie kierowniczkę przedszkola J.Krogulskiej i krakowskich władz szkolnych, gdzie w ciągu 6-ciu lat spędziłam 1-2 miesiące w ciągu roku szkolnego.

Pobyty te zapewniające mi stałe kontakty z dziećmi /mieszkałam nawet w obrębie przedszkola/, stanowiły dla mnie bezcenne źródło obserwacji dzieci w okresie początków nauczania, oraz pobudzały moją inwencję twórczą w zakresie środków przykazywania w atrakcyjny sposób poznawania i przyswajania sobie wiedzy przyrodniczej.

Pod wpływem dyr. Krogulskiej i insp. Cecylii Wojtysiak z Łodzi, powstała książka "Za żywopłotem", będąca wynikiem mojego 20-letniego bezpośredniego kontaktu z przyrodą, przy uprawianiu własnej działki. Jako głównego bohatera wprowadziłam znowu Plastusia, a obserwacje są autentyczne i budzą duże zainteresowanie dzieci / I wyd.-1971. Książka tłumaczona na jęz. niemiecki, rosyjski, węgierski/.

Moje stałe i bezpośrednie kontakty z wytrawnymi pedagogami utrwaliły mnie w przekonaniu o konieczności wprowadzenia dziecka w świat przyrody od najwcześniejszych lat nauczania, w jej obserwację, stały kontakt, wyciąganie samodzielnych wniosków, powiązania uczuciowe, etyczne i moralne.

Jako wynik tych przemyśleń powstała książka pt. "Razem ze słońkiem" /PZWS/. Treść i formę książki oparłam całkowicie na fenologii, czyli na przemianach zachodzących w przyrodzie w związku z porami roku.

Treść podzieliłam na 6 okresów fenologicznych, zawartych w osobnych tomikach, tym sposobem na każdy następujący okres, podaję dzieciom nowy, z aktualnymi wiadomościami tom, odpowiadający wiernie temu, co się w danej chwili dzieje w przyrodzie.

Sposób ten, według sygnałów nauczycielstwa, zdał egzamin, tylko sprawa edytorska zawiodła na całej linii. Okres ukazywania się kolejnych tomików ciągnął się 10 lat! Nakład w drobnym procencie odpowiadał zapotrzebowaniu, o wznowieniu do tej chwili, tzn. do 1981r. o "lekturze obowiązującej" - nie słychać, choć nauczycielstwo ciągle alarmuje, uznając książkę tę za wielką pomoc w wypełnianiu programu.

Po uporaniu się z trudnościami wydawniczymi, przy walce o przyspieszenie ukazywania się tomów "Razem ze słońkiem", miałam zamiar już tylko porządkować swoje archiwum pisarskie, tymczasem temat bieszczadzki sam mi się nawinął.

Za pośrednictwem niezrównanego redaktora "Życia Szkoły" - Nowaka, nawiązałam kontakty z nauczycielem w Lutowiskach /Bieszczady/. Okazało się, że jest to magister z zakresu herpetologii, zapalony harcmistrz i wychowawca młodzieży z zakresu ochrony środowiska, krajoznawstwa i turystyki, urzeczony dziką przyrodą do tego stopnia, że porzucił swoje rodzinne strony, poświęcając się w Bieszczadach pracy naukowej o żmijach, pogłębiając nadal swoją wiedzę i pisząc pracę doktorską z tego zakresu, występując zajadle w tak palącej sprawie, jak tępienie u nas bez opamiętania płazów i gadów.

Nawiązanie bezpośredniego kontaktu z mgr Kazimierzem Garstką - przeważyło szalę.

Mając do dyspozycji tyle wspaniałego materiału z pierwszej ręki i urzekającą pierwotnym pięknem przyrodę - postanowiłam raz jeszcze zrezygnować z samodzielnej pracy - na rzecz spółki autorskiej /co może przynieść utworowi wiele korzyści, ale wiąże się zawsze z kłopotami.../.

Mój współautor znał jednak znakomicie miejscową przyrodę, folklor, tragiczne dzieje ostatniej wojny tego zakątka kraju, a prócz tego odczuwał swoją młodzież, jej upodobania i troski. Z warsztatem pisarskim było gorzej, tę stronę wzięłam na siebie. W ten sposób rozpoczęła się współpraca, której wynikiem była książka "Na tropach węża Eskulapa" /Wyd. Nasza Księgarnia 1980/. Jest to książka potrzebna i spełniająca bardzo ważne zadanie wychowawcze, jakim jest obecnie ochrona środowiska.

Następną moją książką /będącą obecnie w druku/ jest adaptacja wierszyków i gadek dla dzieci z zakresu folkloru ukraińskiego, który może się pochwalić ogromnym bogactwem tego typu utworów. Tytuł książki: "Sto słowiczątek".

Równocześnie z poprzednio wymienionymi książkami, pracowałam, szereg lat, nad książką o "Dudusiach". Są to wymyślone przez mojego wnuka postacie, towarzysze jego zabaw, doradcy w trudnych problemach itp.

Książka nosi tytuł "Skowrończym piórkiem", dotyczy ekologii. Jest to pierwsze tego typu ujęcie; uczy zastanawiać się, obserwować i dociekać praw przyrody. Budzi zaciekawienie, rozwija.

Czynni pedagodzy czekają na nią niecierpliwie do dzisiaj...

Książka jednak została odrzucona przez redaktorki Naszej Księgarni, co uważam za krzywdę dzieci, nauczycielstwa i swoją własną.

Kwalifikowanie książek do druku w instytucjach wydawniczych jest dokonywane z pominięciem czynnych pedagogów. Oto są skutki.

W okresie powstania 1944 roku współredagowałam i zasilalam aktualnymi utworami pismo codzienne, wydawane dla dzieci, na zlecenie Starostwa powstańczego W-wa płn. Redaktorem Naczelnym był Andrzej Nowicki /obecnie prof.dr/. Chodziło o odwrócenie uwagi dzieci od akcji bojowej i jej skutków. Dziennik ten był odbijany na zwykłej maszynie do pisania, ilustrowany przez dzieci w pozostawionych na ten cel "okienkach" tekstu i kolportowany pod kulami na Żoliborz, Marymont, Bielany, Powązki, Słódowiec.

Jedyny egzemplarz jaki się zachował pod balią w piwnicy, po sporządzeniu fotokopii będzie przekazany do Biblioteki Narodowej.

Socjolodzy twierdzą, że na podobny przejaw dbałości o dzieci mógł się zdobyć w tych warunkach tylko Żoliborz ze swoimi tradycjami wychowawczo-społecznymi, zaszczepionymi swojego czasu przez R.T.P.D.

Na zakończenie muszę stwierdzić, że na całej mojej twórczości, zaważyła poważnie początkowa praca w szkole "ludowej".

Poznałam dzięki temu, bezpośrednio, upodobania dzieci, radości i smutki, ambicje i klęski, upodobania i uprzedzenia, ich spontaniczną ofiarność i nieświadome okrucieństwo, ich zbiorowe odruchy i poczucie sprawiedliwości, jednym słowem rysy psychiczne, zarówno dzieci indywidualnych, jak i grupy.

Uczyłam się nimi kierować tak, żeby utrzymywać w klasie jak najlepszą atmosferę.

Zostało to dla mnie na całe życie niewyczerpanym źródłem wiedzy o dziecku i o szkole.

Może dlatego właśnie potrafię "tak blisko podejść do dziecka", jak to stwierdziła jedna z naszych krytyczek.

Na marginesie tej wypowiedzi, chcę też wspomnieć, że jestem autorką pewnego tragicznego wspomnienia z czasów ostatniej wojny.

Jest to opowiadanie dla dorosłych, nosi tytuł "Jula od świni" /świniarka dworska, obarczona czworgiem nieślubnych dzieci, przechowuje w stercie rodzinę żydowską, z wielkim uszczerbkiem dla własnych dzieci, sprawa kończy się oczywiście tragicznie/.

Opowiadanie pisane częściowo gwara podlaską, jest całkowicie autentyczne, ale pomimo tego, że miało doskonałą ocenę wytrawnego krytyka - nie zostało wydrukowane. Jak przypuszczam nieoficjalnie - pisarka dziecięca ma odciętą drogę do literatury dla dorosłych.

Krytyka czasopism literackich czasami nie docenia, a nawet nie dostrzega ogromnego, mozolnego wysiłku pisarzy w stosunku do sprawy wychowania młodego pokolenia.

Maria Kownacka

Warszawa-Żoliborz 29 listopada 1980 rok.